

mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Modrzejewskiego

*– Nie po to zakładaliśmy kapelę, żeby
sobie powiększać biust lub robić jakieś
inne bzdurne rzeczy*

– mówią muzycy grupy Golden Life, s. 12

40

numer

Spis treści

3 The End

V
e
n
i

- 4 Zarządzanie firmą górą!
4 – *Umiejętności ortograficznych nabywa się głównie przez czytanie...*
6 Formalności przed wyjazdem
7 Język, czyli twój wizerunek

V
i
d
i

- 8 Chodzi tylko o tolerancję...
10 – *Musiałem pozwać rodziców, aby sąd orzekł, że nastąpiła pomyłka...*
11 Juwenalia, czyli © copyright Uniwersytet Jagielloński
12 – *Nie po to zakładaliśmy kapelę, żeby sobie powiększać biust lub robić jakieś inne bzdurne rzeczy*
14 – *Naszym rynkiem muzycznym wciąż rządzi chaos...*

V
i
c
i

- 16 – Dzięki marce wolno mi czasami powiedzieć „NIE”
18 Warto się wybrać do teatru
19 – *Mam w domu aż trzy huskie...*
20 SPP, czyli... po poradę sprawą do studentów KA
21 Kulinaria polityczne, czyli (nie)lekkostrawna kampania
22 Warto przeczytać...
22 Kuszenie studentów
23 Juwenalia 2010

miXer

magazyn studentów

Nr 40, maj-czerwiec 2010

redaktor naczelny

Bartosz Walat

redakcja

Dorota Zdechlikiewicz
Mirka Kędzierska
Kinga Zielińska
Jerzy Marcinkowski
Katarzyna Stokłosa
Tomasz Buczek
Beata Tracz-Simankowicz
Robert Jabcoń
Karolina Kowalska
Przemysław Drążek
Agnieszka Serda
Justyna Zuber
Aleksandra Parzyszek
Paweł Klimek
Monika Bury

zdjęcia

Łukasz Żołądź

dtp i layout

Mateusz Janusz (hussars.pl)

adres

[mixon_ksw@interia.eu](mailto:mixer_ksw@interia.eu)

druk

Drukarnia Cardigan

nakład

2000 egzemplarzy

opieka redaktorska

Maciej Malinowski
(Wydział Politologii i Komunikacji Społecznej)

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.

GOŚCIE numeru

GOLDEN LIFE
ANDRZEJ PAŁOWSKI
PIOTR MAŚLANKA

2

„Koniec końców kocha się swą żadzę,
a nie to, czego się pożąda”

Fryderyk Nietzsche

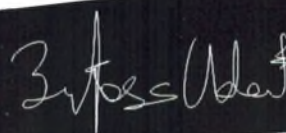
The End

Złoba narodowa, powódź i czynniki przypadkowe wyprowadziły „Mixer” w otchłań czasową i choć w tej chwili następuje jego powrót, to jest to jedynie początek końca.

Tak się złożyło, że trzymacie w rękach 40. numer naszego magazynu. Ot taki niespodziewany jubileusz! Dla mnie szczególnie, bo łatwo nie było. Przez myśl przemykają mi różne sentencje, ale w obawie przed tym, że mogę już nigdy nie pojawić się na tej pięknej lansiarskiej stronie, pragnę podziękować tym, którzy nie szczędzili trzech groszy wsparcia:

Pani Dziekan Katarzynie Pokornej-Ignatowicz za zaufanie,
Pani Prodziekan Annie Frątczak za wsparcie,
Panu Redaktorowi Maciejowi Malinowskiemu za partnerstwo,
Starej Redakcji za to, że odeszli,
Nowej Redakcji za to, że przyszli,
Mateuszowi Januszowi za zaangażowanie,
Bartłomiejowi Misińcowi za wszystko pozostałe.

Dziękuję.



Bartosz Walat
redaktor naczelny

Dołącz do nas!

[mixon_ksw@interia.eu](mailto:mixer_ksw@interia.eu)

I konkurs o tytuł Mistrza Ortografii Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego zakończony

Zarządzanie firmą górą!

20 kwietnia 2010 r. odbył się w Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego pierwszy konkurs o tytuł Mistrza Ortografii Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego przygotowany przez Koło Naukowe Dziennikarzy i Politologów (z Agnieszką Przybylską na czele).

Sprawdzianowi (tekst przygotował mistrz ortografii polskiej, katowickie „Dyktando”, Maciej Malinowski z Wydziału Politologii i Komunikacji Społecznej) poddało się około 20 studentów. Zwyciężył **Mikołaj Torbiczek** z III roku zarządzania firmą, który z rąk prorektor prof. dr hab. Barbary Stoczewskiej otrzymał piękne pióro z wygrawerowanym tekstem i nagrody książkowe.

- *Popieram tego typu inicjatywy jak ogólnouczeniiane dyktando – powiedziała prof. Barbara Stoczewska. – Studenti muszą lepiej pisać, ponieważ od pewnego czasu trafiają do mnie pisma z rażącymi błędami. Liczę na to, że za rok, kiedy odbędzie się drugie dyktando, zgłosi się do niego o wiele więcej chętnych...*

W jury dyktanda zasiadali prodziekan Wydziału Politologii i Komunikacji Społecznej prof. dr Anna Frątczak, dr Agnieszka Walecka-Rynduch, dr Tomasz Jakubec i red. Maciej Malinowski.



– Umiejętności ortograficznych nabywa się głównie przez czytanie...

Rozmawiamy z nowo kreowanym mistrzem ortografii Krakowskiej Akademii
Mikołajem Torbiczekiem

Co sprawia, że tak dobrze znasz ortografię?

- Wydaje mi się, że to, iż bardzo dużo czytam. Może się to niektórym wydać dziwne, ale lubię taką właśnie formę spędzania wolnego czasu. Zresztą mam też inne zainteresowania. Ortografię wpajała mi od najmłodszych lat nauczycielka języka polskiego w szkole podstawowej w Ostrowcu Świętokrzyskim, która robiła całej klasie sporo dyktand i dzięki temu nabywałem wprawę. U nas w domu od lat ojciec kupuje tygodnik „Angora”, w którym ist-

nieje rubryka języka „Obcy język polski” prowadzona przez mistrza ortografii polskiej Macieja Malinowskiego. Jest tam także dodatek pn. „Angorka” dla dzieci i młodzieży, a w niej „Polszczyzna od ręki Pana Literki”, którą bardzo lubiłem czytać, gdyż autor przystępnie wyjaśnia różne meandry polskiej pisowni i gramatyki. Zostało mi to do dzisiaj...

Jak oceniasz znajomość zasad poprawnego pisania wśród studentów?

- Niestety, nie jest z tym najlepiej... Wszędzie widuję sporo błędów nie tylko ortograficznych, ale i stylistycznych, gramatycznych. Czasem uchybienia przytrafiają się i wykładowcom. Cóż, język polskim został ostatnio mocno degradowany...

Czy poprawne pisanie wyzwala umiejętnie mówienie?

- Owszem, ponieważ jeśli pamięta się dobrze zapisane słowo, to później nie ma się raczej problemu z jego wymówieniem. To jednak nie wystarczy. Ważne jest poprawne akcentowanie danego wyrazu czy wyrażenia, no i używanie ich we właściwym znaczeniu. A różnie z tym bywa... Jeśli się jednak zwraca uwagę na ortografię, to z pewnością zyskuje na tym poprawne mówienie.

Jakie uczucia wyzwala w człowieku zdobycie tytułu Mistrza Ortografii?

- Przystępując do dyktanda, nie nastawiałem się na wygraną – chciałem się po prostu sprawdzić. Zdobyć tytułu Mistrza Ortografii to dla mnie duże zaskoczenie. Ale czułem się bardzo zadowolony, że poradziłem sobie z tym wyzwaniem, choć trudnego tekstu nie napisałem bezbłędnie...

Jak oceniasz stronę językową tekstów ukazujących się w magazynie „Mixer”?

- Wydaje mi się, że redakcja „Mixera” przykładą dużą wagę do poprawności ukazywanych się informacji i artykułów. Widać tu rękę opiekuna pana Macieja Malinowskiego... Oczywiście, zawsze znajdą się mimo to jakieś drobne uchybienia, ale nie rzutują one na całość. Tak więc stronę językową magazynu „Mixer” uważam za bardzo dobrą. Nasze pismo zdecydowanie wyróżnia się pod tym względem spośród innych magazynów studenckich wychodzących w Krakowie.

Jakiej rady udzielilibyś ludziom, którzy nie radzą sobie z poprawną pisownią?

- Powtarzam: umiejętności ortograficznych nabywa się głównie przez czytanie, więc ci, którzy piszą z bykami, czasem elementarnymi, muszą zacząć więcej czytać. W razie wątpliwości warto też sięgać do słowników ortograficznych. Jednym słowem – trzeba myśleć przy pisaniu, a nie robić tego mechanicznie i liczyć na to, że błędy poprawi program komputerowy...

Tekst dyktanda

Zwierzzenia, wcale nie mrzonki „Żaby”

Co najmniej od miesiąca zaczęły się moje naprawdę żmudne przygotowania do udziału w konkursie o tytuł Mistrza Ortografii Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.

„Ożeż ty!”, słodziutka »Żabo« – powiedziała zrazu ni stąd, ni zowąd do siebie, kiedy dowiedziałam się o ogólnouczelnianej klasówce. „Musisz koniecznie wziąć w niej udział, pokazać, na co cię stać, i w ogóle wygrać w cuglach. Nieprzypadkowo przecież w Liceum im. Słowackiego w Skarżysku-Kamiennym mieszcącym się przy alei (lub al.) 17 Stycznia, tuż-tuż placu (lub pl.). Floriańskiego byłeś najlepsza z polskiego i ortografii i nawet okrzyknięto cię zwyciężczynią wszech czasów. Pokażże, »Żabcu«, co istotnie umiesz! Niech no po ogłoszeniu wyników wszystkim zazdrośnikom mina zrzednie!”

Powiem nieskromnie: najwyraźniej ów super tytuł po prostu mi się należał. Już wówczas niestraszne mi były trudne, a nieraz arcytrudne wyrazy, wyrażenia czy zwroty typu *aha, beczułka, chuligan, gżegżółka, myślistwo, na pewno, nietrudno, prosimy o niepalenie tytoniu, prosić, przebywać za granicą, trzeba by, wrócić z zagranicy, wydawałoby się, znad morza*.

Pytacie: skąd wiedziałam, że należy to pisać właśnie tak, a nie inaczej? Odpowiem bez ogródek: trzeba się czymś od najmłodszych lat na co dzień interesować, być hobbystą (albo hobbistą). Jeśli o mnie chodzi, to namiętnie oglądałam programy telewizyjne prof. Jana Miodka, czytałam porady językowe w tygodnikach, przeglądałam słowniki et cetera (lub ect.). I zostało mi to do dzisiaj.

Nieprzypadkowo, i chyba nie na darmo, po maturze wybrałam studia w mieście Wisławy Szymborskiej w nowo powstałej Krakowskiej Akademii (ojcie, aniśmy się obejrżeli, a uczelni przy ul. Herlinga-Grudzińskiego, początkowo jeszcze noszącej nazwę „Krakowska Szkoła Wyższa”, stuknęło dziesięć lat!). Jestem na Wydziale Politologii i Komunikacji Społecznej, na komunikacji społecznej, idzie mi całkiem, całkiem, choć roboty co niemiara, w bród. Po obronie pracy magisterskiej chciałabym pracować albo jako PR-owiec (lub piarowiec) w dużej firmie joint venture, albo jako specjalista od marketingu politycznego lub jako redaktor adiustator w renomowanym wydawnictwie, najlepiej w „Znaku” bądź „Wydawnictwie Literackim”. I jedno, i drugie, i trzecie wydaje się aż nadto interesujące, nieprawdaz?

Ale coś Wam jeszcze na koniec zdradzę. Jako ewentualność biorę też pod uwagę poświęcenie się pracy naukowej. Być może natychmiast po uzyskaniu dyplomu rozpocznę studia doktorskie, oczywiście nie gdzie indziej, tylko na KAAFM (albo KA AFM). Na razie mam jeszcze trochę czasu do namysłu. A Wy, o przyszłości narodu, nie myśleliście ani razu o tym?

Maciej Malinowski,
mistrz ortografii polskiej (katowickie „Dyktando”)

Formalności przed wyjazdem

Kandydaci starający się o wyjazd na studia zagraniczne są informowani o wyniku procesu rekrutacyjnego w terminie określonym w harmonogramie rekrutacji przez uczelnianego koordynatora programu LLP-Erasmus. Od tego momentu osoby zakwalifikowane muszą podjąć działania, które zwykle zajmują kilka miesięcy i są konieczne, aby spełnić szereg wymogów związanych z organizacją studiów na uczelni zagranicznej.

Niedługo po ogłoszeniu wyników ma miejsce obowiązkowe spotkanie organizacyjne. Omawiany jest wtedy dalszy proces przygotowań oraz przekazywane są studentom dane kontaktowe do byłych stypendystów, a także do przedstawicieli uczelni zagranicznych.

Kandydaci dowiadują się, że w pierwszej kolejności muszą nawiązać kontakt z przedstawicielami uczelni zagranicznych i złożyć stosowne dokumenty. Zwykle są to formularze zgłoszeniowe i podania o zakwaterowanie. Niektóre uczelnie mogą żądać także wykazu zaliczeń w języku angielskim. O wszystkich formalnościach uczelnie zagraniczne informują studentów w indywidualnej korespondencji. Istotne jest także nawiązanie kontaktu z byłymi stypendystami, aby dowiedzieć się, jak studiuje się za granicą.

W celu otrzymania prawa wyjazdu i dofinansowania student musi podpisać z uczelnią macierzystą umowę o wyjazd w ramach programu Erasmus. Może ona być zawarta tylko po dostarczeniu przez kandydata następujących dokumentów:

- **Porozumienia o Programie Studiów (*Learning Agreement – LA*)** w trzech oryginalnych egzemplarzach podpisanych przez studenta, przedstawiciela macierzystego wydziału (z pieczęcią) i przedstawiciela uczelni przyjmującej (z pieczęcią);
- **Karty Zaliczeń** w trzech oryginalnych egzemplarzach zatwierdzonych przez dziekana (druk wydawany przez koordynatora wydziałowego);
- **Letter of Acceptance / Letter of Admission** (list z uczelni partnerskiej potwierdzający przyjęcie na wymianę, który uczelnia zagraniczna przesyła bezpośrednio do studenta po otrzymaniu jego wniosku o przyjęcie na studia);
- **Formularza Danych Bankowych** (dostępnego na stronie www.ka.edu.pl w części dotyczącej programu Erasmus);
- potwierdzenia posiadania **ubezpieczenia zdrowotnego** i NNW;
- zaświadczenia z dziekanatu o uregulowanym **statusie studenta**.

Zostaliśmy zakwalifikowani na Erasmusa, ale co dalej?

Schemat postępowania

1. Uczestniczenie w spotkaniu organizacyjnym, o którym osoby zakwalifikowane są informowane przez uczelnianego koordynatora programu LLP-Erasmus.
2. Zgłoszenie swojej kandydatury do osoby kontaktowej na uczelni zagranicznej oraz zdobycie informacji o procedurze aplikacyjnej do uczelni zagranicznej i sposobie rezerwacji zakwaterowania.
3. Spotkanie z koordynatorem wydziałowym, który pomaga studentom w przygotowaniu się do wyjazdu w aspekcie akademickim.
4. Nawiązanie kontaktu z byłymi stypendystami programu Erasmus w celu pozyskania informacji na temat warunków pobytu na uczelniach zagranicznych.
5. Składanie podań ze stosownymi załącznikami do uczelni zagranicznych.
6. Kompletowanie dokumentów potrzebnych w celu podpisania umowy: Porozumienia o Programie Studiów (*Learning Agreement – LA*); Karty Zaliczeń; Letter of Acceptance; Formularza Danych Bankowych; potwierdzenia posiadania ubezpieczenia zdrowotnego i NNW; zaświadczenia z dziekanatu o uregulowanym statusie studenta.
7. Podpisanie umowy z uczelnią macierzystą o realizację wyjazdu w ramach programu LLP-Erasmus.

Umowę najlepiej jest podpisać około miesiąca przed planowanym wyjazdem, aby pierwsza rata stypendium wpłynęła na konto beneficjenta, gdy jeszcze jest w Polsce.

Warto pamiętać, że w przypadku gdy wyjazd ma miejsce w trakcie sesji zimowej, należy złożyć podanie do dziekana, prosząc o wydanie zgody na wcześniejsze wystąpienie do sesji z powodu wyjazdu na studia za granicę. Jeśli wykładowca zgadza się na zaliczanie przedmiotu w sesji letniej – również należy napisać podanie do dziekana o przeniesienie terminu egzaminu na sesję letnią. Zasada ta dotyczy wszystkich – także tych, którzy mają już zgodę (ustną – nieformalną) wykładowców na zaliczenie egzaminu przed sesją. O przeniesieniu egzaminu na sesję letnią należy także powiadomić swojego koordynatora wydziałowego.

Przygotowanie do wyjazdu jest czasochłonne i intensywne. Należy ten proces traktować jako sprawdzenie własnych kompetencji predysponujących do wyjazdu. Na tym etapie czasami okazuje się, że dany kandydat nie jest w stanie sprostać biurokratycznym wymogom Erasmusa i dochodzi do wniosku, że taki wyjazd lepiej przełożyć na inny termin. Natomiast osoby, które poradzą sobie ze sprawami administracyjnymi, otrzymują wyjątkową szansę studiowania za granicą i udowadniają, że są zdolne do stawienia czoła czekającym ich wyzwaniom.



Uważam, że każdy z nas powinien poświęcić czas na poprawną polszczyznę, a studia, na które uczęszczamy, tylko nam to ułatwić

Język, czyli twój wizerunek



Monika Bury

Kolejny dzień spędzony na uczelni, zajęcia jak zwykle od rana do wieczora, ale przecież to norma, nikogo to nie dziwi. Wręcz przeciwnie – na korytarzach znów ten sam tłum zabieganych ludzi. O, stołówka, dobry pomysł, może chociaż tam będzie nieco spokojniej...

Jednak ku mojemu zdziwieniu stołówka wyglądała niczym stado mrówek w mrowisku. Nie ma co narzekać. Widzę, że jest wolny stolik, więc biegnę w jego stronę, czuję się jak na zawodach, w walce o jakieś trofeum. Miejsce przy stoliku staje się moją nagrodą, jeszcze tylko zamawiam gorącą herbatę z cytryną i... czuję się fantastycznie.

Po chwili szczęścia mój spokój zostaje zakłócony. Przysłuchuję się rozmowie grupki studentów i słyszę zamiast *wszedłem* – *wesłem*, a zamiast *poszedłem* – *poszłem*. To tylko dwa błędy językowe, ale czy rzeczywiście u ludzi, którzy kończą studia, takie dwa błędy powinny się pojawić? Jak to możliwe, że nikt z nas nie zwraca na to uwagi? Przecież język ojczysty jest częścią nas, to dzięki niemu ludzie w innych krajach nas odróżniają, a my potrafimy zrozumieć samych siebie.

Jednak problemem nie wydaje się sam język, ale także nasza znajomość ortografii i zasad interpunkcji. Jako całe społeczeństwo nie dbamy o poprawność wypowiedzi w piśmie, pomijając mowę. Przykładem jest słowo *wziąć*, które jakże często pisane jest jako *wziąść*. A przecież jesteśmy studentami psychologii, handlu, socjologii, turystyki, administracji, pedagogiki, tymi, którzy kiedyś, w przyszłości będą pracować z ludźmi, uczyć innych, doradzać im wypełniać różnego rodzaju formularze. Czy rzeczywiście podaliśmy kiedyś temu zadaniu?

Niezwykle często można usłyszeć wulgaryzmy, które brzmią nieomal śmiesznie. A wiecie dlaczego? Dlatego, że dla mnie są przykładem małej znajomości słów. To prawda, że każdy boi się do tego przyznać, ale to przecież nasza szara rzeczywistość. Czy ludzie wykształceni to rzeczywiście tacy ludzie? Naszym dużym błędem są również zapożyczenia, nie powinniśmy ich wcale stosować, ale raczej unikać, gdyż nasz język jest jedyny i niepowtarzalny, trzeba go tylko dobrze opanować. Śmieszne wydaje się to, że uczymy się języków obcych, nie znając dobrze własnego, którym posługujemy się na co dzień.

Uważam, że każdy z nas powinien poświęcić czas na naukę ojczystego języka, a studia, na które uczęszczamy, tylko nam to ułatwić. Nasz harmonogram zajęć jest przeładowany przedmiotami, których tak naprawdę mogłoby nie być. Jeśli my będziemy mówić niepoprawnie, istnieje duże prawdopodobieństwo, że ludzie, z którymi będziemy współpracować czy którym będziemy przekazywać wiedzę, też będą popełniali błędy, a przecież mamy być w dziedzinie, którą studiujemy, profesjonalistami. Bez języka możemy tylko uchodzić za „suchy”, a do tego „skałeczony” tekst.

W maju mniejszość homoseksualna przeszła ulicami Krakowa. Było kolorowo, wesoło i... spokojnie

Chodzi tylko o tolerancję...



Aleksandra Parzyszek

R

uszyli o 14.30 z pl. Wolnica. Przeszli ulicami Krakowską, Stradomską i Grodzką, by dojść na Rynek Główny. Po drodze spotkali grupę Młodzieży Wszechpolskiej. Na Rynku było cicho i spokojnie.

Tak w skrócie wyglądał tegoroczny „Marsz Równości”. Oczywiście, nie obeszło się bez drobnych incydentów, w postaci „ostrzału” z jajek czy petard, ale policja szczelnym kordonem otoczyła maszerującą młodzież homoseksualną, blokując do niej dostęp.

Obelgi i ataki ze strony radykalnych narodowców nie były tak agresywne i silne, jak rok temu, niemniej jednak pojawiały się okrzyki „Normalna rodzina – chłopak i dziewczyna”, jak również tabliczki z napisem „Zakaz pedałowania”. Rynek był wyjątkowo spokojny, nie zjawily się duże grupy identyfikowane z organizacjami nacjonalistycznymi. Poleciało tylko kilka jajek przeznaczonych bardziej dla policji niż dla manifestujących. Owszem, przewijały się kilkuosobowe grupki niezadowolonych z wydarzenia mężczyzn, ale przecież ich siła tkwi w kupie. Pojedynczo niewiele zdziałali.

Zdecydowanie większa liczebnie okazała się społeczność homoseksualna. Jak można było przeczytać na jednej z tablic, jest ich w Krakowie 45 tysięcy, ale na pewno tylu nie maszerowało. Grunt, że byli głośni, kolorowi i uśmiechnięci. Z tęczowymi flagami, balonami i z uśmiechem maszerowali przez miasto w rytmie bębnow. Prze-

chodnie i zmuszeni do zatrzymania aut kierowcy też się uśmiechali, bo trudno było inaczej reagować, kiedy mija cię wielka grupa wiwatujących, wesołych młodych ludzi. Krzywdy nikomu tym nie zrobili, tylko na kilkanaście minut zablokowali ulicę.

Mała grupa Młodzieży Wszechpolskiej czekała na swoich przeciwników pod Wawelem. Z krzyżem zbitym z desek, z różańcami w rękach i „Zdrowaś Mario” na ustach czekali, aż „haniebną paradą” zbliży się do ulicy Grodzkiej. Ktoś zaczął intonować hasło „Wielka Polska katolicka”, ktoś inny wygrażał pięścią, ale na tym się protest skończył. Przed homoseksualistami była kolejna przeszkoda – NOP, czyli Narodowe Odrodzenie Polski.

Działacze tej organizacji dali o sobie znać w tamtym roku, kiedy w dość agresywny sposób, zwarci w jedną wielką masę, przekrzykiwali się nawzajem coraz to bardziej radykalnymi hasłami. W tym roku na Rynku było dziwnie spokojnie. Nie wiem, czy to zasługa

policji, czy po prostu sami NOP-owcy postanowili dać sobie spokój. Widziałam charakterystycznie wyglądających młodzieńców, którzy parami czy trójkami spacerowali w tę i z powrotem, próbując zbliżyć się do manifestacji, ale nikt nie wszczął ataku, nawet słownego. Gdy w niebo poleciały balony, wszyscy rozeszli się do domów.

Najbardziej zawiedzeni takim obrotem sprawy byli fotoreporterzy, którzy liczyli na ostre zdjęcia, niebezpieczne interwencje czy porządną dawkę adrenaliny. Muszę przyznać, że ten marsz bardzo mi się podobał. **Żyjemy w kraju demokratycznym**, gdzie każdy (!) może wygłaszać poglądy, jak również każdy może się z czyimiś poglądami nie zgadzać i może ten sprzeciw wyrazić, byleby zachowywać się jak człowiek, a nie jak rozwścieczone zwierzę, bo agresja rodzi agresję.

„Marsz Równości” od lat budzi wiele kontrowersji w Krakowie i bez wątpienia jest jednym z najlepiej ochronianych. Kto choć raz był jego świadkiem, wie, o czym mówię: kilkudziesięciu policjantów, w pełnym umundurowaniu, gotowych do najcięższego starcia, z psami na smyczach, bronią w kaburach. Strach się bać. W tym roku podobno policja była tak bezlitosna, że zdarzyło się nawet stratanie jednego z przeciwników marszu. Piszę „podobno”, bo ja tego nie widziałam, ale słyszałam od kilku osób (i mamy zdarzenie uwiecznione na zdjęciu). Dostać się pod buty takiego funkcjonariusza... to musiało boleć.

W oczy rzucał się jeden mały detal w umundurowaniu: niektórzy policjanci mieli hełmy chyba wyciągnięte z archiwum, nie dość, że różniły się kolorem i budową od tych nowiutkich, czarno-białych, to jeszcze można było na nich zauważyć coś, czego nawet ja nie pamiętam ze szkoły – orła białego bez korony. Złośliwi mówili, że na tych hełmach widać jeszcze ślady po „Solidarności”. No cóż, policjant z gołą głową na taki marsz nie pójdzie...

Jeszcze rok temu homoseksualiści i zwolennicy równouprawnienia dla mniejszości seksualnej szli pod szyldem „Marszu Tolerancji”. W tym roku nazwę zmieniono na „Marsz Równości”. Czyżby nie zależało już im na tolerancji? A może zdali sobie sprawę, że tolerancji

nigdy nie będzie? **Bo czym jest tolerancja?** Socjologia mówi, że pojęcie to nie oznacza akceptacji (por. łac. *acceptatio* – ‘przyjmować, sprzyjać’) czyjegoś zachowania czy poglądów, lecz poszanowanie czyichś zachowań lub poglądów, mimo że nam się one nie podobają.

Tak pojmowana tolerancja ma swoje granice – kończy się tam, gdzie zaczynam się ja. Jeśli osoba czy zachowanie przeze mnie tolerowane naruszy moje dobra, mój teren, wtedy moja tolerancja się kończy. W przeciwnym wypadku musiałabym przedłożyć czyjeś racje, nad moje dobro. Tolerancja to też tolerowanie tego, że ktoś mnie nie toleruje, więc obowiązuje obie strony sporu. Jak widać, pojęcie tolerancji jest skomplikowane, więc lepiej skupić się po prostu na równości. Maszerujący krzyczeli „**Każdy inny, wszyscy równi**”, zaznaczając, że mają świadomość swojej odmienności, ale chcą być traktowani tak jak heteroseksualiści.

Potwierdziła to **Kamila**, jedna z maszerujących: – *Chcemy, żeby mimo wszystko ludzie zaczęli nas akceptować takimi, jakimi jesteśmy, jak normalnych ludzi, bo wiemy, że nie wszyscy traktują nas normalnie, i wiemy też, że jesteśmy inni. Chodzi nam też o zmianę ustaw, żeby wprowadzić związki partnerskie, bo dzięki temu będziemy mieć więcej przywilejów.*

Dla **Pawła** „Marsz Równości” był przede wszystkim fajnym spacerem, ale także okazją do wypowiedzenia swojego zdania: – *Widzę zachodzące zmiany w mentalności Polaków, ale problemem nadal pozostaje równouprawnienie. Myślę, że dobrze jest, jeśli homoseksualizm w naszym kraju nie będzie już tajemnicą. Chciałbym, żeby ludzie się z nim zetknęli, bo tylko wtedy mogą sobie wyrobić własne zdanie, a nie kierować się stereotypami.*

W odczytanym „**Manifeście Marszu Równości 2010**” można było usłyszeć: *Organizujemy festiwal „Queerowy Maj” [queer znaczy ‘dziwaczny’, słowo opisujące dziś społeczności gejų, lesbijek oraz osób bi- i transseksualnych] i „Marsz Równości”, aby upomnieć się o prawa, które jako obywatelkom i obywatelom nam przysługują. Żądamy zmian prawnych na rzecz pełnego przeciwdziałania wszelkim przejawom dyskryminacji oraz skierowanej przeciw nam mowy*



nienawiści i agresji. Żądamy wprowadzenia rozwiązań prawnych, zapewniających parom jedнопłciowym takie same prawa, jakie obecnie przysługują parom heteroseksualnym. Wreszcie żądamy wprowadzenia w szkołach rzetelnej, niezafałszowanej, opartej na faktach edukacji dotyczącej seksualności człowieka.

A co o marszu myślą jego przeciwnicy? Zaczepiony przeze mnie chłopak nie chciał podać imienia, o mały włos, wcale by się nie wypowiedział, ale nie dałam za wygraną. W końcu udało mi się go nakłonić do wypowiedzi. Jak przyznał, jest „bardziej za stroną narodoworadykalną” i wyraźnie sprzeciwia się takim marszom: – *Homoseksualizm nie jest zdrowym zachowaniem, jest chorobą, jak pedofilia, i to pedastwo powinno się leczyć, a nie wychodzić z nim na ulicę i manifestować, że jest się chorym.*

Inny przeciwnik, **Józef**, nie jest zaangażowany w żadne stowarzyszenie czy organizację i chodzi na takie marsze już od 5 lat: – *Od wielu lat jest tak naprawdę to samo i najbardziej mi przeszkadza mylne pojęcie „demokracji”. Czy ktoś mnie będzie ochraniał, kiedy postanowię zademonstrować swoją heteroseksualność? Czy jakakolwiek jednostka policji będzie dbała o to, żeby mi się nie stała krzywda? Gwarantuję, że bardzo duża liczba osób tu maszerujących jest agresywnie nastawiona do normalności, a mam na myśli prawa naturalne. Żeby urodziło się dziecko, potrzebny jest mężczyzna i kobieta. W ogóle nie kwestionuję ich prawa do istnienia, kwestionuję tylko prawo do ślubów, adopcji i przede wszystkim do takich zgromadzeń.*

Czy jest złoty środek? Tak długo jak homoseksualiści będą maszerować po równość, tak długo będą przeciw temu protestować „obrońcy natury”. Świadomie owo drugie wyrażenie dałam w cudzysłowach, bo kwestia samej „natury” w tym przypadku również podlega poglądom.

fot. mmkrakow.pl

Gdyby babcia miała wąsy...

...toby była transseksualistą K/M, czyli biologiczną kobietą o psychice mężczyzny. Inaczej mówiąc – płęć jej mózgu nie odpowiadała – by temu, jaką płęć reprezentuje jej ciało. Powiedziałaaby: „Jestem więźniem swojego ciała”.

Konstanty wie, że trudno zrozumieć to komuś, kogo to nie dotknęło. Dlatego sporo opowiada, przynosi dokumenty, zdjęcia sprzed kilku lat. Na nich – on, ładna, długowłosa blondynka o imieniu Magdalena. Siedzę naprzeciwko i widzę średniej postury mężczyznę z zadbanym zarostem. Jedyne podobieństwo, jakie dostrzegam, to takie samo rozumne spojrzenie. Wspólnie wertujemy karty tej historii. Nie wiemy, od czego zacząć, bo przez 30 lat wiele się wydarzyło. . .

- Musiałem pozwać rodziców, aby sąd orzekł, że nastąpiła pomyłka...

Rozmowa z Konstantym Wilkiem
(wcześniej Magdaleną Wilk), krakowskim transseksualistą

Kiedy zdałeś sobie sprawę z tego, że płęć twojego ciała nie pasuje do płci mózgu?

- Gdy byłem dzieckiem, uważałem się za chłopca, byłem święcie przekonany, że nim jestem. Mówiąc o sobie, używałem rodzaju męskiego. Kiedy ktoś nazwał mnie dziewczynką, obrażałem się, robiłem rodzicom awanturę. Jednak dzieci nie są aż tak głupie. Wiedziałem, że coś jest ze mną nie tak, że zaszło jakieś nieporozumienie. Najgorszy był okres dojrzewania, gdy moje ciało zaczęło nabierać prawdziwie kobiecych kształtów...

Podjąłeś decyzję o operacji i kuracji hormonalnej dopiero w wieku 26 lat. Jak wyglądało twoje życie, kiedy funkcjonowałeś jeszcze jako Magdalena? Próbowaleś ukrywać swoją kobiecość?

- Wcale nie. Myślałem, że skoro już tak jest, to potrafię być kobietą. Chodziłem w butach na obcasach, ubierałem się bardzo kobieco, miałem długie włosy, malowałem paznokcie, robiłem sobie makijaż. Próbowalem tak funkcjonować wśród rówieśników i udowodnić sobie, że potrafię być delikatną dziewczyną. Chociaż często słyszałem, zwłaszcza od młodszego o rok brata, że dziewczyny nie zachowują się tak jak ja. Miałem męskie ruchy wtedy, kiedy zapominałem się kontrolować...

A kiedy zostawałeś sam ze swoimi myślami?

- W swoich marzeniach, wyobrażeniach, snach zawsze widziałem siebie jako mężczyznę. Starałem się mieć na to jak najmniej czasu, odsuwać od siebie te myśli, unikałem samotności. Studiowałem i pracowałem w trzech miejscach. Później nadszedł okres depresji. Nie chciałem się pokazywać ludziom, przez pół roku prawie w ogóle nie wychodziłem z domu.

Czy rodzice wiedzieli o twoich problemach?

- Nikt nie wiedział, poza bratem. To właśnie on pierwszy podsunął mi myśl o zmianie płci. Bardzo się bałem, miałem 25 lat, a taka decyzja wymagała przecież porzucenia całego dotychczasowego życia. Dopiero dwa lata później poszedłem do specjalisty, który na podstawie badań, testów i wywiadu biograficznego wystawił diagnozę. To był naprawdę wielki przełom. Wiedziałem wcześniej, że o to chodzi, że jestem osobą transseksualną, ale do tego momentu nie czułem, iż mam do tego prawo. Wolałem, żeby wypowiedział się specjalista i stwierdził, że faktycznie tak jest.

Jak wyglądał proces leczenia i metrykalnej zmiany płci?

- Przez pierwszy rok brałem różnego rodzaju hormony. Pojawił się zarost, znikł cykl miesięczkowy. To był pierwszy etap. Drugi to chirurgiczne usunięcie piersi i macicy. Trzeci etap, czyli rekonstrukcja genitaliów, jest nadal przede mną. A jeśli chodzi o kwestię przerejestrowania, starałem się o nową tożsamość prawną przez półtora roku. Procedura wyglądała tak, że musiałem pozwać rodziców, aby sąd orzekł, że nastąpiła pomyłka, że od zawsze byłem mężczyzną. Gdy dostałem dowód, musiałem zmienić wszystkie inne dokumenty.

Jak reagowali urzędnicy? Spotkałeś się kiedyś z dyskryminacją?

- Wbrew pozorom pracownicy urzędów byli bardzo mili, pomocni i przychylni. Nigdy nie spotkałem się z dyskryminacją.

Czy gdy poznajesz nowych ludzi, ukrywasz swój transseksualizm?

- Nie. Zawsze mówię wprost. Nawieć agresji i nietolerancji wynika z niewiedzy. Ludzie się boją. Dlatego zgodziłem się na realizację filmu dokumentalnego „Trans-misja”. Chciałem pokazać, że to się może zdarzyć również w naszym społeczeństwie, a nie tylko za oceanem...

Rozmawiała
Justyna Zuber

Wszystko zaczęło się 12 maja 1964 r. na 600-lecie tej uczelni

Juwenalia, czyli © copyright Uniwersytet Jagielloński

Dorota Zdechlikiewicz

Za

nami Juwenalia 2010. Poznajmy nieco historię dorocznego święta – tę dawną i tę nieco bliższą.

Za ojca juwenaliów uważa się osławionego cesarza Rzymu Nerona, który w 59 roku n.e. wpadł na pomysł... zgolenia swojej bródki. Z tej okazji wyprawił wielkie igrzyska młodzieńców o nazwie *iuvenalia* (od *iuvenalis* = młodzieńczy). W „Rocznikach” Tacyta czytamy:

„(...) ustanowił igrzyska pod nazwą >>młodzieniaszków<<, do których zewsząd poczęto się zgłaszać. Ani szlachectwo, ani wiek, ani wzgląd na piastowane przedtem urzędy nie były dla nikogo hamulcem w wykonywaniu rzemiosła greckiego czy łacińskiego aktora – aż do niemęskich gestów i melodyj. Co więcej, dostojne niewiasty uczyły się nieprzyzwoitych ról; a w gaju Augusta założyły dookoła jeziora, przeznaczonego na potyczki okrętów, urządzono miejsce schadzek i karczmy, gdzie wystawiano wszystkie podniety do zbytku. Rozdzielano nadto pieniężne datki, które uczciwi z musu, hulacy dla przechwałki trwonili. Odtąd wzrastała liczba skandali i bezeceństw i nic od dawna już zepsutym obyczajom nie przyczyniło więcej rozwiązłości niż owa kłoała”.

A zatem początkowo *iuvenalia* (pozostaliśmy przy pisowni oryginalnej) nie były świętem młodzieży studenckiej i nie wszystkim podobał się sposób ich obchodzenia. Budziły zgorszenie, gniew, zbierały niepocholebne opinie. Zresztą i dzisiaj

można to zaobserwować, kiedy słucha się uwag wygłaszanych na widok korowodów i przebierańców idących ulicami...

W Krakowie święto studenckiej braci zapoczątkowano w XV wieku. Nazywało się wówczas *żakinadą* albo *saturnaliami*. Żacy zawsze w październiku przejmowali władzę nad miastem, wybierali spośród siebie króla i oddawali się hulankom i swawolom na ulicach i placach miasta. Wtedy to powstała pieśń-hymn „*Breve regnum erigitur*”, opowiadająca o tym, że zabawa nie będzie trwać wiecznie. Jej początek można przetłumaczyć tak: *Ot, królestwo się zakłada, krótko się w nim tylko władza i zniesione wniwecz pada, kiedy minie władcy czas*.

W czasach współczesnych (od lat 50. ub. wieku) studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego organizowali w Collegium Maius tzw. *otrząsiny*, czyli widowisko związane z przyjmowaniem na uczelnię nowych studentów. Pewnego razu postanowili, że wyjdą na miasto i pokażą wszystkim krakowianom, kim są. Tak oto narodziły się pierwsze prawdziwe juwenalia, które przypadły na 12 maja 1964 r.

Data nie była przypadkowa, w tym dniu bowiem obchodzono 600-lecie powstania Uniwersytetu Jagiellońskiego. 12 tysięcy przebierańców, złożonych głównie ze studentów UJ, PWST, Akademii Muzycznej i Akademii Sztuk Pięknych, a także aktorów i jazzmanów wraz z zespołami, przemaszzerowało w wielkim pochodzie z Wawelu na Rynek Główny pod hasłem „*Od Kazimierza Wielkiego do Kazimierza Lepszego*” (prof. Lepszy był wówczas rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego).

Warto dodać, że każdego roku przed rozpoczęciem święta na tzw. sejmiku elekcyjnym wybierano Wiel-

kiego Mistrza Bractwa Żakowskiego, któremu – w obecności rajców miejskich i rektorów – prezydent Krakowa przekazywał klucze do bram miasta, oddając tym samym władzę w ręce studentów. Po uroczystościach oficjalnych wielki korowód przebierańców wyruszał do Miasteczka Studenckiego, gdzie początkowo odbywała się większość imprez.

Niestety, juwenaliom nie zawsze towarzyszyła wyłącznie sielanka. W czasach PRL-u imprezy studenckie (jak i wszystkie inne) odbywały się pod czujnym okiem władzy, a ich program musiał być dostosowany do jedynie słusznych koncepcji i ideologii, co kontestowano na wszelkie możliwe sposoby. Juwenalia tamtych lat były imprezami równoległymi: jedna odbywała się oficjalnie, zorganizowana „po linii i na bazie”, druga była nieoficjalna – szalona, rozbuchana i absolutnie nieprzewidywalna, rozgrywająca się głównie w akademikach, nasycona parodią socjalistycznej rzeczywistości i... zażarcie ścigana przez MO i SB.

Apogeum manifestacji sprzeciwu wobec władzy komunistycznej przypada na koniec lat 70., kiedy w 1977 roku po niewyjaśnionej do dziś śmierci studenta i działacza opozycji Stanisława Pyjasa studenci całkowicie zbojkotowali juwenalia (nazwano je „czarnymi juwenaliami”). Z owego młodzieżowego buntu powstały pierwsze organizacje – Studencki Komitet Solidarności, a później Niezależne Zrzeszenie Studentów.

Na szczęście dzisiaj juwenalia obchodzimy w wolnej Polsce, w prawdziwej atmosferze radości, beztroski i swobody. Warto jednak pamiętać o tym, że nasza wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego człowieka.



- Nie po to zakładaliśmy kapelę, żeby sobie powiększać biust lub robić jakieś inne bzdurne rzeczy

– mówią muzycy grupy **Golden Life**, gościa tegorocznych juwenaliów Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Czy to obciach grać na juwenaliach?

Adam Wolski: – Jaki obciach? Koncert to koncert, grasz przecież dla ludzi, którzy są okey. Juwenalia od jakiegoś czasu bywają bardzo dobrze zorganizowane.

Pytam, bo różne opinie krążą o juwenaliowej publiczności...

Tomasz Kamiński: – Wiesz, my nie odpowiadamy za publiczność, ale prawdziwym obciachem jest grać na przykład w sztabie jakiejś partii politycznej. Każdy inny koncert zależy wyłącznie od nas i jeżeli my zawalimy, to ten obciach może być tylko i wyłącznie naszą niechlubną zasługą. My zawsze dajemy z siebie sto procent i nieważne, czy są to juwenalia czy stulecie jakiegoś miasta...

Naprawdę zawsze dajecie z siebie tyle samo, niezależnie od frekwencji na widowni?

Adam Wolski: – Tak. Oczywiście znakomicie jest grać dla tłumów, ale kiedy występujemy dla garstki, która przyszła i oczekuje ona od nas „pompy”, robimy to. Nie jest tak, że wyjdziemy na scenę, zagramy dwa kawałki i powiemy: „Słuchajcie, jest was tak mało, że kończymy, bo to jakaś czarna rozpacz”.

Przyznacie jednak, że prawdziwych skrzydeł dodaje artyście odzew widowni...

Jarek Turbiarz: – Mówisz teraz o sprzężeniu zwrotnym, którego artysta zawsze pożąda – wiadomo, że jak się odbierze od publiczności dużo energii, to bez wahania można ją zaraz oddać. Generalnie chodzi jednak o to, by umieć się wyrazić w swojej muzyce bez względu na okoliczności. My nie jesteśmy z łapanek, gramy od wielu lat i nie ma takiej rzeczy, która by nas mogła złamać.

Tomasz Kamiński: – Fajnie jest grać koncerty, na które przychodzą tysiące ludzi, ale żeby zagrać taki koncert, trzeba się nauczyć występować dla pięciu, dziesięciu, piętnastu osób.

Jarek Turbacz: – Poza tym na kameralnym koncercie jest lepszy odbiór, można nas lepiej usłyszeć, zobaczyć, poczuć. (śmiech)

Czy wasze doświadczenie przekłada się na kontakt z publiką?

Adam Wolski: – Od wielu lat mamy swoją wizję przedstawiania się na koncertach, no i konsekwentnie realizujemy program.

Tomasz Kamiński: ...choć czasem improwizujemy, nie zważając na to, ile osób znajduje się przed sceną. Jeśli publiczność daje z siebie ogień, to zdarza nam się popełnić jakieś solo

na perkusji, i to bywa rewelacyjne. Dzięki temu nie popadamy w rutynę.

Jak w takim razie jako „leciwy” zespół odnosicie się do tych wszystkich, zmieniających się warunków funkcjonowania kapeli? Mam na myśli te wszystkie fan page, facebooki, konieczność funkcjonowania w Internecie...

Tomasz Kamiński: – Internet jest rewelacyjną instytucją dla muzyka, ludzie kopiują płyty, ale jak im się coś naprawdę spodoba, to wówczas wydadzą pieniądze. Dziś nikt nie idzie do sklepu muzycznego, by kupić kota w worku. A jeśli chodzi o jakieś historie typu Pudelek, to wiesz – nie po to zakładaliśmy kapelę, żeby sobie powiększać biust lub robić jakieś inne bzdurne rzeczy.

Jacek Bogdziewicz: – Ja to w ogóle chrzańię te facebooki, twittery i inne podobne portale, nie mam z tym nic wspólnego i nie chcę mieć. Kumpelka z klasy spotyka mnie po latach i pierwszym, co mi miała do powiedzenia, było to: „Czemu Cię nie ma na Naszej Klasie?”. Nie ma i nie będzie! Ja mam mocno rozbudowane relacje z moimi znajomymi i przyjaciółmi w realnym świecie. W ogóle jeśli chodzi o portale społecznościowe, to raczej dostrzegam negatywne skutki obcowania z nimi. Z Internetu powinni korzystać ludzie mądrzy.



Nawiązując jeszcze do Internetu, kiedy wpisze się do Wikipedii, podstawowego źródła wiedzy wielu studentów, nazwę waszej kapeli, to można się dowiedzieć, że jesteście przedstawicielami „gdańskiej sceny alternatywnej”. Poczujacie się do tego? (w tym momencie rozlega się gromki śmiech chłopaków...)

Adam Wolski: – Ten wpis zdążył się już trochę zestarzeć...

Tomasz Kamiński: – Gdańska scena alternatywna to było coś wyjątkowego, ale de facto... nigdy nie istniało. Był w Gdańsku klub „Burdel” skupiający kilka zespołów. Paradoksalnie kapele, które tworzyły gdańską scenę alternatywną, w ogóle nie posługiwały się terminem „alternatywa”. Alternatywa nie istniała, bo niby do czego? Ludzie po prostu w tamtym czasie chcieli grać dobrą muzykę. Do tego przypięto jakąś łatkę, która do teraz funkcjonuje w Polsce. Ten wpis jest śmieszny, ale symbolizuje to, że Golden Life uczestniczył w tym zjawisku, które ktoś już po swojemu nazwał. Jesteśmy reliktem tej historii, z tamtych czasów ostaliśmy się my, Apteka...

Jarek Turbiarz: – ... i Kombii! (śmiech)

Tomasz Kamiński: – To był początek lat 80. i 90., młodzi ludzie chwycili za wiosła i starali się w nowych realiach tworzyć muzykę.

Działacie gdzieś na uboczu tego mainstreamu i zastanawiam się, czy jest to wasz świadomy wybór czy kwestia warunków panujących na polskim rynku muzycznym.

Tomasz Kamiński: – Być może tak u nas jest, że ktoś, kto ogranicza się w swojej działalności do grania dobrych piosenek, nie będzie funkcjonował w tym głównym nurcie. Ja nie chcę nikogo obrazić, szczególnie naszych znajomych, którzy w tym mainstreamie się znajdują, i nie chcę wspominać, jakimi sposobami do niego doszli. Fakt – ubolewamy trochę nad tym, że nie ma nas więcej, ale nie po to, żeby znaleźć się na portalach plotkarskich, lecz żeby grać może trochę więcej koncertów i w łatwiejszy sposób wydawać płyty.

Jacek Bogdziewicz: – Jednym słowem – zarabiać nieco więcej kasy.

Skoro już jesteśmy przy tym przykrym temacie... Możecie sobie pozwolić na to, by skupiać się tylko na muzyce?

Jarek Turbiarz: – Powiem tak: żyjemy z uprawiania muzyki i jeżeli działamy gdzieś zarobkowo, to tylko w obrębie muzyki. Generalnie wiadomo, jakie teraz panują warunki. Dziesięć lat temu było nam znacznie łatwiej.

Tomasz Kamiński: – Trzeba też zaznaczyć, że nigdy nie zrezygnowaliśmy z życia i tworzenia w Gdańsku. To miasto jest, niestety, prowincją, bo przecież nie ma się co czarować, że owa cała maszynka kręci się w Warszawie. To powód, dla którego pewne rzeczy przychodzą nam trudniej.

Może trochę nie nadążacie za gustami muzycznymi, a może nie chcecie nadążyć?

Tomasz Kamiński: – Korci nas teraz, żeby spróbować czegoś innego, ale nie znaczy to, że będzie to droga łatwiejsza. Wiem jedno – efekt może być bardzo zaskakujący...

Rozmawiała
Katarzyna Stokłosa

- Naszym rynkiem muzycznym wciąż rządzi chaos...

- mówi **Piotr Maślanka**, lider zespołu i właściciel agencji Karrot Kommando, przy okazji wydania najnowszej płyty grupy **Paprika Korps**

Kiedyś przyznałeś w rozmowie ze mną, że wyznawcy Marleya mogą się poczuć urażeni waszym podejściem do reggae. Z okazji nowej płyty będą bardziej przychylni, czy wręcz odwrotnie?

- Raczej odwrotnie. Z płyty na płytę dopracowujemy idee „heavy reggae”. Jest tam coraz więcej dubowych przestrzeni i gitarowych riffów. To wciąż miejsce dla śpiewnych melodii i reggae’owego rytmu, ale ten drugi element czasami coraz trudniej wylapać.

Dużo podróżujecie. Jak wiele zagranicznych brzmień przemyciliście do nowej płyty?

- Trudno powiedzieć, czy cokolwiek przemycamy. Pewnie w jakimś tam stopniu tak, bo każdy ma jakieś inspiracje, ale generalnie cały nasz styl jest już dosyć rozpoznawalny. Dzieje się to w sposób naturalny na próbach. Nigdy podczas tworzenia nie padają sugestie typu „Słyszałem mocny rytm kapeli z Norwegii, zróbmy coś podobnego”. Raczej są to autorskie pomysły...

Wykluczysz kiedyś instrumenty na rzecz laptopów?

- Nie. Żywe granie to żywe granie, a komputery to komputery. I jedna muzyka, i druga może być ciekawa, lecz ja przede wszystkim cenię sobie idee zespołu. Żeby brzmiało to porządnie, na miejscu musi się stawić kilka osób i każdy odegrać swoją partię nie tylko najlepiej jak potrafi, ale też tak, aby w zetknięciu z grą reszty muzyków stanowiło to całość. Zespół to zespół. Jestem tradycjonalistą...

Obecnie zauważalny jest w Polsce nurt muzyki zaangażowanej patriotycznie. Państwo dofinansuje płyty o powstaniu, w hołdzie poetom, z „biało-czerwoną flagą na okładce”. Nie korci was „upaństwowienie”?

- Nasz basista stanowczo nie przepada za patriotycznymi uniesieniami...

19 marca br. wystąpiliście w ramach cyklu „Niepokorni”. Wielu artystów przyznało mi, że im więcej lat na scenie, tym niepokorność się tępi. Jak jest w twoim przypadku?

- My nigdy nie byliśmy specjalnie niepokorni. Po prostu robimy swoje i mimo że zespół istnieje już od 15 lat, wciąż jesteśmy w zdecydowanej większości przed trzydziestką. Na razie nic nam się chyba nie tępi, słuchaczom to oceniać.

Jesteś zaangażowany w rynek wydawniczy. Rośnie liczba młodych zespołów, które warto wydać?

- Ostatnio mam poczucie stagnacji. Dawno już nie słyszałem jakiegoś debiutu, zupełnie młodych ludzi, którzy by robili coś tak ciekawego, by zaparło dech w piersiach. Ale jak to bywa w przyrodzie – pewnie i ten stan zaraz się zmieni...

Wolałbyś debiutować obecnie, w czasach MySpace'a i facebooka?

- Zastanawiałem się nad tym. Myślę, że każdy czas ma swoje wady i zalety. Gdy organizowałem pierwszą trasę Papriki, nie było telefonów komórkowych ani Internetu, dzwoniło się na stacjonarki, a starsi koledzy wspominali ustalanie koncertów zwykłymi listami. Teraz przepływ informacji jest diametralnie szybszy, co z jednej strony ułatwia poszukiwanie nowych miejsc/kontaktów itd., a z drugiej każe się zmierzyć z jeszcze większą konkurencją. Mimo to myślę, że to nie technologia, ale wciąż ludzie decydują o sukcesie, więc jeśli robi się coś naprawdę wartościowego i przede wszystkim wierzy się w swoje działania i po prostu pracuje się wytrwale, to musi się udać!

Nie od dziś mieszkasz w Krakowie. Czujesz się częścią środowiska artystycznego tego miasta?

- Nie. Ja po prostu lubię Kraków. Czuję się tu dobrze, mam niezawodnych przyjaciół i to mi absolutnie wystarcza. Nie mam ambicji, aby z pre-

- Przede wszystkim nie podpisywać żadnych dokumentów bez konsultacji z prawnikiem. Można się w ten sposób uwiązać na długie lata w nie-



*– My nigdy nie
byliśmy specjalnie
niepokorni. Po prostu
robimy swoje i mimo
że zespół istnieje już
od 15 lat, wciąż jesteśmy
w zdecydowanej większości
przed trzydziestką*

medytacją stawać się częścią jakiegoś środowiska.

Jakie warunki sprzyjają stworzeniu nowej płyty? Zaczynasz od dźwięku czy słowa?

- W przypadku ostatniej płyty Papriki zaczęliśmy nie od dźwięku ani słowa, ale od miejsca. Nazwa płyty nawiązuje do opuszczonego budynku na obrzeżach Opola, gdzie płyta powstawała. Setki pustych pomieszczeń, pozostawiony w nieładzie sprzęt biurowy, nieznośnie długie korytarze i schody stworzyły odpowiedni klimat dla dźwięków i słów, które po prostu się pojawiły. Już naprawdę nie sposób nawet ocenić, czy muzyka, czy słowa były pierwsze...

Co poradziłbyś młodym zapaleńcom? Jakich decyzji nie powinny podejmować podczas tworzenia nowych projektów muzycznych?

korzystny dla siebie i dalszego rozwoju sposób, co widziałem już wiele razy. Problemem młodych zespołów jest moim zdaniem brak własnej inicjatywy w promowaniu się i zdobywaniu nowych kontaktów. Zespoły po prostu szukają menedżera, dzięki któremu wszystko ma się stać proste, zamiast samemu podejmować próby brania interesów we własne ręce. Nie wiem: lenistwo? Brak wiary w siebie?

Jak bardzo zahartował się rynek muzyczny przez te wszystkie lata twojej działalności?

- Jak mawia znajomy menedżer ze Śląska „polski show business to ani nie show, ani nie business”. Myślę, że w porównaniu – z taką dajmy na to – Finlandią naszym rynkiem muzycznym wciąż rządzi chaos.

Rozmawiał
Bartosz Walat



– Dzięki marce wolno mi czasami powiedzieć „NIE”

– mówi Andrzej Pągowski

Jest pan znanym grafikiem i plakacistą w Polsce, ale bardziej kojarzony z Warszawą niż z Krakowem. Dlaczego zaangażował się pan w projekt „Chopin w mieście”?

- Z projektem nie miałem nic wspólnego w momencie powstawania, ale z Krakowem jestem tak naprawdę o wiele bardziej związany niż z Warszawą. Mam na myśli same działania promocyjne, bo już jakiś czas temu zacząłem działać pod Wawelem, robiąc kampanię „Kraków noszę w sobie”, pracując przy różnych projektach związanych z Krakowem, jak chociażby Festiwal Plakatu Reklamowego. Myślę, że między innymi dlatego zaproszono mnie do udziału w projekcie „Chopin w mieście”. Oczywiście, bardzo się ucieszyłem. Zapal trwał do momentu, kiedy ów fortepian przyjechał do mnie do domu...

Przeraziła pana forma czy może kulturowy balast, jaki ciąży na Chopinie? Przecież miał się pan zmierzyć z ikoną kultury Polski...

- No właśnie. Naszły mnie te wątpliwości, bo chodziło o kogoś wielkiego, bardzo znanego, kto ma za sobą potężny potencjał twórczy. Do głowy by mi nie przyszło, że można nie znać Chopina, ale jak się okazuje – docierały do mnie zatrważające badania – można, bo ponad 80 procent młodych Polaków nie wie, kim był Chopin...

Pomyślałem: „Kurcze, jeśli rzeczywiście tak mała grupa osób kojarzy kompozytora, to może nie warto eksperymentować z nowoczesnością, tylko odwołać się do rzeczy znanych...”. Kiedy ten fortepian przyjechał do mnie, zwątpiłem. Miałem 100 pomysłów, dopóki go nie zobaczyłem. Myślałem, że pójdzie mi szybko i łatwo, bo wcześniej zetknąłem się z podobną akcją w Warszawie, kiedy malowaliśmy krowy. Chodziło o potężne, międzynarodowe wydarzenie i muszę przyznać, że wtedy było mi łatwiej. Krowa wydawała się prosta i łatwa w odróżce, fortepian zaś wydawał się strasznie skomplikowany w płaszczyznach i jeszcze obciążony kulturowo. Miałem świadomość, że to przecież replika instrumentu Chopina!

Pojawiały się w głowie jakieś inne pomysły, zanim trafił pan na ten ostateczny?

- Zacząłem iść drogą najgorszą, jaką można było wybrać, czyli szukałem przełożenia mojej twórczości na Chopina. Ale w pewnym momencie utknąłem. Krowę pomalowałem w jeden z motywów z plakatu hamletowskiego, a mianowicie w kruki, tyle że tu nie chciałem się powtarzać, chociaż owe kruki genialnie by na fortepianie wyglądały. Zacząłem więc szukać dalej i okazało się, że po prostu... nie mam pomysłu. Dyrektor KBF Magda Sro-

ka powiedziała wtedy: „Wiesz, ja bym chciała, żeby na plakacie było widać, iż jest to Pągowski”. Czyli miałem nie iść drogą chopinowską, tylko zrobić coś od siebie... Wymyśliłem, że fortepian pomaluję na wzór sera z dziurami, ponieważ kłapa fortepianu skojarzyła mi się z takim odkrojonym plastrzem. Zacząłem to nawet szkicować, ale zre-flektowałem się, że dam ludziom w ten sposób komunikat, że tak naprawdę mogą sobie tym Chopinem wykladać kanapki. Owa realizacja rzeczywiście wyglądała na zbyt odważną...

Instrument pana przeraził, ale w końcu się udało...

- Stał w garażu, więc musiałem przez dwa tygodnie parkować przed domem, a akurat wtedy padał śnieg i panowały mrozy. Był taki szary, ponury i jakiś taki odpychający. Pomyślałem, że pomaluję go na czarno i wtedy zrobił się dostojny. Któregoś dnia żona podjechała z dziećmi pod dom, syn wysiadł, podbiegł do fortepianu, spojrzął i zaczął sobie rączkami po nim biegać, udając że gra. Spojrzałem na to i... pomyślałem: „Aha, ów fortepian został do mnie przywieziony po to, żebym ja, plastyk, zostawił na nim jakiś ślad...”. Wcieliłem się w taką teatralną scenę: malarz ma brudne ręce, bo maluje farbami. Nagle przywożą mu fortepian, więc go przesuwają, opuszczają kłapę, coś tam podnosi, aż w końcu myśli: „A może ja bym na nim zagrał?”. Próbuje, jest jednak beztalenciem muzycznym, więc tu coś wciska, tam wciska, tu dotyka, tam popycha, tutaj są jakieś klawisze, tam pedały... Nagle patrzy, a na całym tym eleganckim instrumencie zostało pełno śladów. One właśnie, przełożone przez to dotykanie, w moim pojęciu wylewają barwę muzyki, pomysłem koncertu, który malarz zagrał, zaimprovizował. Taki był cały pomysł.... Przy realizacji miałem ogromną frajdę, tylko mnie poniosło do tego stopnia, że jak zobaczyłem, co zrobiłem, to się przestraszyłem, bo był bałagan jak diabli. Krótko mówiąc, pomysł oparł się właśnie na wstawieniu instrumentu do domu artysty, który nie jest do tej sztuki przyzwyczajony, nie jest z nią obeznany. Dopiero co malował obraz, a tu nagle zostawiają taki mebel. Pod-

chodzi, przesuwa go, patrzy: „O kurde, zostawiłem ślad...”, a potem go kusi: „Może coś spróbuję zagrać?”. Na gotowym już dziele widać, że wszystkie klawisze zostały przez kogoś dotknięte palcami, więc ewidentnie owa osoba w ogóle nie umiała grać. To prawdziwy zapis mojego zmierzania się z muzyką, z meblem. Efektem tego jest barwna erupcja koloru, która mam nadzieję bywa widoczna w moich pracach. A zatem na plakacie nie ma Chopina, jest raczej przygoda z meblem, z muzyką, z klawiaturą.

Czy Kraków jest gotowy na tego typu sztukę?

- Obserwowałem, jak ludzie patrzą na ten fortepian, i widzę, że... w ogóle nie reagują. Czasami tylko ktoś podszeł, przeczytał tabliczkę, spróbował grać... Wydaje mi się, że dzieje się tak dlatego, iż jest to strasznie trudny temat. Poza tym są niesłychanie mocno atakowani różnymi, ulicznymi reklamami, tak że mój projekt wydaje się mało agresywny. Jeżeli można mówić o zaletach, to na pewno pomalowanie repliki fortepianu przez artystów i szansa powiedzenia, jak podchodzę do samego Chopina, okazał się świetnym pomysłem. Wadą natomiast jest ich liczba i rozstawienie po Krakowie. Rzeźby powinny stać w jednym miejscu, wtedy robiłyby większe wrażenie. U mnie w garażu ten instrument był gigantyczny, ale tutaj jest małym elementem, który przegrywa delikatnością swojego wyrazu plastycznego chociażby z billboardem mówiącym, jak wytresować smoka, czy z reklamą na tramwaju, a nawet z tą dziewczyną jadącą na rowerze w krótkiej, czerw-

nej sukience. To po prostu jest miasto, a nie płaszczyzna jak plakat, który ma szansę zadziałać komunikatem. W tym wypadku trzeba podejść, zastanowić się, o co chodzi. Ludzie są zabiegani...

Może rzeczywiście wszystkie fortepiany postawione w jednym miejscu wzbudziłyby większe zainteresowanie?

- Zdecydowanie tak! Odniosę się znowu do przykładu malowanych krów. W całej Warszawie było ich ok. 100 i też ginęły w konfrontacji z przestrzenią miejską, kiedy zaś stały w jednej masie, na Krakowskim Przedmieściu, zrobiły potężne wrażenie. Patrzyłem na prace kolegów, którzy robili inne fortepiany, i zauważyłem, że wszyscy subtelnie podeszli do tych mebli, więc na pewno lepiej by było dla tej akcji, gdyby stały w jednym miejscu. Widziałem zdjęcia, kiedy pokazano wszystkie dzieła na rondzie Mogilskim, i myślę, że właśnie tak powinno to wyglądać. Wtedy robiły kolosalne wrażenie. Nawet jakby stały cztery obok siebie, to już by było inne działanie. Może powstaną jeszcze dwie lub trzy kopie i uda się je pogrupować... Poza tym tu obok jest przystanek, więc większość ludzi jest zajęta tym, czy nadjeżdża tramwaj. Podejrzewam, że wielu może odebrać to wszystko jak jakiś happening...

Dziś chyba trudno przykuć kogoś uwagę, a szczególnie trudno jest się ludziom skupić na sztuce ulicznej. W Krakowie pojawia się coraz więcej tego typu elementów...

- Kiedy zaczynałem robić plakaty i jak tylko jakiś pojawił się na uli-

cy, to chodziłem i sprawdzałem, czy i jak ludzie reagują. Do dziś mi to zostało. Moje prace, billboardy społeczne, plakaty do filmów Kieślowskiego były i są nadal komentowane. Dziś jest niezwykle trudno zwrócić czyjąś uwagę szczególnie właśnie w przestrzeni miejskiej. Tu ten element wysublimowanego mebla, delikatnego, ubranego w delikatną grafikę po prostu ginie...

Może powodem tego staje się zalewająca nas papka plakatowa? Większość jest robiona według jednego, nieciekawego, prostego pomysłu. Dlaczego miasta są oklejane takimi billboardami?

- Dziś już artysta nie może robić, co mu w duszy gra. Pojawia się zamówienie i plastyk musi wykonać to, za co mu płać. Zleceniodawcy wymagają, żeby na plakacie znalazła się lista sponsorów czy patronów medialnych, narzucają grafikom własną wizję. Mnie się udaje przemycić swoje pomysły, bo do reklamy przeszedłem już ze znanym nazwiskiem. Mimo to czasami muszę robić rzeczy, które są ewidentnie komercyjne. Obecnie młodym grafikom czy plastynom trudno jest się przebić przez wymagania klientów, ale czasami się udaje. Najważniejsze to pomysł i wiara.

Pągowski to już właściwie marka.

Tak, i właśnie dzięki tej marce wolno mi czasami powiedzieć „nie”...

Rozmawiała:

Aleksandra Parzyszek

(tekst w wersji skróconej,

pochodzi z portalu mmkrakow.pl)

fot. Łukasz Żołądź

W czerwcu wiele atrakcji

Warto się wybrać do teatru

4.06.	piątek	Święci tego tygodnia. Ironia, Teatr KTO
5.06.	sobota	Sprzedam dom, w którym już nie mogę mieszkać, Teatr KTO
10.06.	czwartek	Święci tego tygodnia. Ironia
11.06.	piątek	Święci tego tygodnia. Ironia
12.06.	sobota	Święci tego tygodnia. Ironia
17.06.	czwartek	Święci tego tygodnia. Ironia
18.06.	piątek	w ramach 4. Nocy Teatrów: <i>Kreon</i> , Teatr Nie Teraz, godz. 19.00 <i>Audiencja III, czyli raj Eskimosów</i> , godz. 21.00 <i>Atrament dla leworęcznych</i> , godz. 23.30 <i>Miasto ślepców</i> , godz. 22.00, Rynek Główny. PREMIERA
19.06.	sobota	<i>Audiencja III, czyli raj Eskimosów</i> , Teatr Niepotrzebny.

Wszystkie spektakle o godz. 19.00 w Teatrze KTO.

BILETY: 30 i 20 zł; 4. Noc Teatrów – wstęp wolny, obowiązują rezerwacje.

Teatr KTO, ul. Gzysików 8, Kraków, tel. 12 633 89 47, godz. 9.00-16.00 oraz na 2 godziny przed każdym spektaklem promocja@teatrkto.pl; www.teatrkto.pl. Bilety online www.eBilet.pl. Punkt Informacji Miejskiej, ul. św. Jana 2, tel. 12 421 77 87, godz. 10.00-18.00.



Teatr KTO

Święci tego tygodnia. Ironia

scenariusz i reżyseria: Krzysztof Niedźwiedzki, muzyka: Jerzy Zając; występują: Jacek Buczyński, Maciej Małysa, Paweł Rybak, Maciej Słota.

Komedia *Święci tego tygodnia. Ironia* to historia człowieka, który „zatrzasnął” się w swoim życiu i usilnie próbuje znaleźć na tę przypadłość receptę. To humorystyczna próba opowiedzenia życia w dziewięćdziesiąt minut – gdyż tyle trwa mecz piłkarski. A gdyby się przypadkiem nie udało, zawsze jest szansa na dogrywkę..

Jeżeli jest jeszcze ktoś, kto po obejrzeniu *Atramentu dla leworęcznych* ma wątpliwości, jak naprawdę wygląda świat, w którym żyje, to najwyższy czas to zmienić.

Teatr KTO
Miasto ślepców
(PREMIERA)

scenariusz, reżyseria i opracowanie muzyczne: Jerzy Zoń, scenografia: Joanna Jaśko-Sroka, kostiumy: Zofia De Ines, choreografia: Eryk Makohon.

Przedstawienie plenerowe inspirowane powieścią José Saramago o tym samym tytule. Premiera spektaklu odbędzie się podczas 4. Nocy Teatrów.

Teatr Nie Teraz
Kreon
wg *Antygony* Sofoklesa

scenografia i reżyseria: Tomasz A. Żak, opracowanie wokalne: Tomasz Lewandowski, występują: Ewa Tomasik, Magdalena Zbylut, Szymon Seremet.

Teatr Nie Teraz, idąc śladem teatralnych koncepcji Sofoklesa, opowiada historię *Antygony* trzema aktorami. Ich osobowości oraz ich fizyczność zdecydowały o wielu rozwiązaniach formalnych i – co ważniejsze – o ostatecznym kształcie adaptacji dramatu. Sama adaptacja opowiedziana jest ję-



zykiem teatru alternatywnego, jak najdalszego od poprawności politycznej naszych czasów.

Teatr Nie Teraz (TNT) działa od 1980 roku, reprezentując nurt teatru offowego, wywodzącego się z polskiej teatralnej alternatywy lat 70. XX wieku. TNT był uczestnikiem lub gościem najważniejszych polskich festiwali teatralnej alternatywy, w tym czterokrotnie występował podczas Krakowskich Reminiscencji Teatralnych. W ramach swoich artystycznych podróży TNT odwiedził niemal wszystkie regiony Polski; występował także w Niemczech, Austrii, Szwajcarii, we Włoszech, Francji, a także na Słowacji i Ukrainie.





Decydując się na to urocze stworzenie rasy Siberian husky, należy się wcześniej zastanowić nad tym, czy jesteśmy w stanie obdarzyć je opieką, na jaką naprawdę zasługuje.

– Mam w domu aż trzy huskie...

Beata Tracz-Simankowicz

Syberian husky (potocznie huskie) to psy niesamowite. Słowo husky znaczy 'ochrypły' i kiedyś określano w ten sposób wszystkie psy używane do ciągnięcia sań, obecnie nazwa ta przysługuje jedynie rasie Syberian husky.

Nieważne, jak długo jesteś posiadaczem „haszczaka”, i tak potrafi Cię czymś zaskoczyć. Mam w domu aż trzy huskie, więc coś mogę na ten temat powiedzieć.

Czasem siadają w oknie i długo patrzą...

Za co kocham te psy? Przede wszystkim za ich niezależność. Nie wykonują naiwnie każdego polecenia, jakie wymyśli sobie ich właściciel. Są wspaniałymi przyjaciółmi. Kiedy ktoś jest smutny, płacze lub jest chory, przychodzą położyć głowę na kolanie lub wtulają się w ciebie, jakby chciały powiedzieć: nie martw się. Czasem siadają w oknie, długo patrzą i wzdychają, jakby wpadły w wielką zadumę. To właściwie jedyna rasa psów, które nie szczekają, za to przezabawnie potrafią wyć jak wilki na balkonie, gdy słyszą sygnał jadącej karetki.

Psy rasy Siberian husky to bardzo łagodne i przyjacielskie zwierzęta. Są towarzyskie i czule szczególnie w stosunku do dzieci. Bardzo inteligentne, ustepliwe, charakteryzują się ogromnym zapałem do pracy, dlatego bywają wspaniałymi towarzyszami spacerów. Żywe, energiczne, ciekawskie, jednak nie można powiedzieć, żeby były ner-

wowe. Suki tej rasy są bardziej uległe i łatwiej przywiązują się do właściciela, są bardziej posłuszne. Samce z kolei do psy harde, niezależne, mniej posłuszne.

Miewają tysiąc pomysłów na minutę

Siberian husky to psy samodzielne, chętnie uczące się. Miewają tysiąc pomysłów na minutę. Potrafią wywijać właścicielowi różne numery: od kradzieży kanapki ze stołu począwszy, picia wody z kibelka, grzebania w szufladzie z bielizną aż po ucieczkę na czas z góry nieokreślony.

Wielu ludzi kupujących sobie huskiego nie zdaje sobie sprawy z tego, jak trudna jest ta rasa. Trzeba mieć odpowiedni charakter, żeby móc żyć w zgodzie z kocio-psio-wilczą naturą huskiego. A nie zawsze jest to łatwe życie. Po pierwsze, skłonność do samotnych wędrówek, albo lepiej nazywajmy to po imieniu- uciekinierstwo wystawia właściciela nieraz na ciężką próbę. Nie trzeba koniecznie puszczać huskiego luzem, żeby przekonać się, czy ucieknie, czy zostanie. Jeśli nasz pies zapragnie „dać nogę”, to choćbyśmy nie wiem jak się starali, to i tak w końcu to zrobi.

Niech nikt nie myśli, że dla „haszczaka” przeszkodą w osiągnięciu celu będzie dwumetrowy płot. Wolne żarty. Może ewentualnie betonowa ściana z podmurówką, ale i tak nie moglibyśmy mieć pewności, czy powstrzyma ona naszego pupila przed wyruszeniem na wycieczkę krajoznawczą.

Na widok kota lub wiewiórki zupełnie tracą mózg...

Husky, pomimo swojej inteligencji, na widok kota lub wiewiórki zupełnie traci mózg i w amoku pogoni może przebiec przez ruchliwą jezdnię. Silny instynkt łowiecki, który mają te psy, może też nie przypaść do gustu naszemu sąsiadom, zwłaszcza jeśli mieszkamy na wsi. Husky jest oczywistym zagrożeniem dla okolicznego drobiu, więc jeżeli nie chcemy wydawać całych oszczędności na kupno nowych kur w miejsce tych zagryzionych, to mamy dwa wyjścia: nie puszczać psa luzem albo założyć dodatkową skarbonkę, której zawartość byłaby przeznaczona tylko i wyłącznie na kupno nowego inwentarza dla wściekłych właścicieli gospodarstwa, w którym nasz pies się stołuje.

Jeśli szukamy dla siebie psa stróżującego, to nawet nie mamy po co marzyć o huskim. Husky kocha ludzi i ucieszy się na widok złodzieja tak samo mocno jak na widok kogoś z rodziny. Może też zdarzyć się, że nasz „pies obronny” po prostu... ucieknie na widok włamywacza. W obu przypadkach efekt jest ten sam — żal właścicieli i pretensje do psa, który Bogu ducha winny nie wie, o co chodzi.

To psy idealnie nadające się na terapeutów

Łagodny charakter to powszechnie znana cecha huskich, wykorzystywana w dogoterapii. Jeśli więc chcemy ▶

- poświęcić się temu wspaniałemu zajęciu, to husky jest rasą godną polecenia. Są to psy idealnie nadające się na terapeutów. Ale nawet jeśli nasz pies miałby pomagać upośledzonym osobom, to nie można zapominać o tym, do czego został stworzony, i trzeba zapewniać mu odpowiednią dawkę ruchu (niewybiegany husky jest albo destrukcyjny, nerwowy i nadpobudliwy, albo osowiały; w obu przypadkach nie będzie z niego pożytku jako psa terapeutę).

Piękny ruch, futro, oczy, oryginalne maski na pyszczku przyjazny charakter – stały się dramatem tej pięknej rasy. Nie ukrywajmy, że te psiaki są od pewnego czasu modne. Husky w tysiącach pojawiają się już na polskich ulicach. Większość z nich jednak nie była kupiona z myślą o ich prawdziwym przeznaczeniu, co bardzo często po kilku miesiącach staje się tragedią, zarówno dla ich właścicieli, jak i samych psów.

Każdy, kto pod wpływem chwili decyduje się na pierwszego huskiego, często nie wie lub nie chce wiedzieć o tym, jakie ogromne potrzeby ma ta rasa. Mit o ich łagodności sprawia, że rodzice kupują huskiego na prezent dla dziecka lub po to, by mieć milutką, puszystą kuleczkę na kanapie w swoim salonie. Dla miłośnika tej rasy nie ma nic gorszego niż widok starszych babć lub eleganckich pań na szpilkach ciągniętych po trawie przez niewielkiego huskiego, który przecież jest w stanie pociągnąć nawet dwie tony. Husky może być tak samo nieszczęśliwy, mieszkając w ogródku, jak szczęśliwy mieszkając w bloku, ale z panem który dostarczy mu odpowiedniej rekreacji.

Kiedy złożymy do kupy wszystkie wymienione wyżej cechy, to powstanie nam najcudowniejsze stworzenie pod słońcem – prawdziwy, trochę wilczy pies północy *Siberian husky*. Decydując się na to uroczne stworzenie, należy się wcześniej zastanowić nad tym, czy jesteśmy w stanie obdarzyć je opieką, na jaką naprawdę zasługuje. Trzeba również pamiętać o tym, że pies to nie zabawka, tylko przyjaciel na znaczną część naszego życia.

SPP

czyli...

po poradę sprawą do studentów KA

Paweł Klimek

(sekretarz zarządu SPP przy WPiA KA)

Studencka Poradnia Prawna (SPP) przy Wydziale Prawa i Administracji Krakowskiej Akademii powstała w marcu 2009 roku. Od tego czasu studenci pracujący w jej strukturach zmagają się z problemami prawnymi mieszkańców Krakowa i okolic, a czasem nawet sąsiednich województw. Jako pierwszy w historii sekretarz zarządu SPP, którego kadencja powoli dobiega końca, na łamach „Mixera” chciałbym odpowiedzieć Wam, a także sobie na zasadnicze pytanie, które każdy czasem sobie stawia: czy było warto?

Kiedy rozpoczynałem pracę w SPP, znajomi z roku nie byli przekonani, czy dobrze robię. – *Czy na pewno chcesz udzielać porad prawnych za darmo, ubogim – często trudnym klientom?* – to pytanie zadawał mi każdy z nich. Co gorsza – zadawałem je sobie sam. Dziś mogę na nie odpowiedzieć twierdząco, nie wahając się ani przez chwilę. Wem, że praca w SPP może dać więcej perspektyw i możliwości niż praktyki albo staż w kancelarii prawnej. Dlaczego?

Przed wszystkim student odbywający praktyki przeważnie nie ma szans na osobisty kontakt z klientem

ani możliwości na poprowadzenie całej sprawy od początku do końca. W SPP jest odwrotnie: studenci od razu zostają rzucony na głęboką wodę – przypisuje się ich do konkretnego klienta i sprawy. Co więcej, niedoświadczony praktykant w kancelarii nie może się spodziewać prowadzenia spraw gatunkowo trudnych. W SPP nie dokonuje się ich wyboru ze względu na ciężar gatunkowy i studenci rozwiązują każdą sprawę, która wpłynęła. Ponadto w SPP pracuje się w dwuosobowych zespołach, co ze względów ekonomicznych, nie byłoby możliwe w kancelarii. Każda osoba świadoma tego, że jednym z narzędzi prawniczego warsztatu pozostaje metoda prowadzenia wewnętrznego sporu – rozważania argumentów za podjęciem konkretnego ruchu w trakcie procesu i przeciw niemu – domyśli się, że praca zespołowa i możliwość konfrontowania swoich racji z kolegą mają niebagatelne znaczenie dla osobistego rozwoju młodego prawnika.

Co więcej, SPP organizuje wiele praktycznych szkoleń (np. z zakresu psychologicznych aspektów udzielania porad, radzenia sobie ze stresem, posiadania informacji niejawnych, czy etyki doradztwa prawnego), których nie są w stanie zorganizować małe i średnie kancelarie prawne. ►

To, że lokal, w którym przyjdzie nam dokonać zakupu abonamentu na najbliższych pięć lat, nie jest salą z dansingiem, nikogo nie dziwi i raczej nikt się fajerwerków nie spodziewał

Kulnaria polityczne, czyli (nie) lekkostrawna kampania

Dorota Zdechlikiewicz

Już wkrótce wybory prezydenckie – przyjrzyjmy się zatem, co proponują nam kandydaci pretendujący do stanowiska głowy państwa. Skojarzenia kulinarne nie

są tu niczym nowym, od dawna bowiem znana nam jest „kielbasa wyborcza”. Tym razem jednak żadnej kielbasy nie ma, za to w karcie dań wyborczych królują specjały, z których raczej dość trudno będzie coś wybrać.

Danie główne według sondaży to słabo przyprawiona, żeby nie powiedzieć mdła, POTrawka, która ani nie pachnie, ani nie wygląda. Aż dziw bierze, że tak wysoko oceniana jest przez PT Konsumentów. Być może działa tu strach przed tym, co widnieje na pozycji drugiej w menu wyborczym, a może siła przyzwyczajenia... Ostatecznie mało kogo stać na eksperymentowanie z własnym żołądkiem, szczególnie jeśli wybór ma nam służyć aż pięć lat.

Numer drugi z kolei to przedziwna kombinacja dania, które wygląda znajomo, ale pachnie jakoś inaczej. Delikatnie mówiąc, zalatuje ostrą domieszką przyprawy zwanej z niemiecka „szwindel”. Głównie szwindel z PiStacjami. Niby to mięsne danie, ale tak obficie polane czarnym lukrem, że właściwie nie wiadomo, co to jest i jaki ma smak.

Dalsza lektura tego menu również nie przedstawia się zachęcająco. Mamy tu bowiem propozycję będącą zupełnie nową wersją lewej strony jadłospisu, która tymczasem okazała się odgrzewanym schabowym, w dodatku mocno pachnącym starchyzną... Czyżby WRON-ą? Niestety, nie wystarczy świeża panierka. No walijki w karcie dań nie występują, a rolniczo-chłopskie dania, tak chętnie spożywane przez liczącą się część konsumentów, przypominają ziemniaki bez okrasy i buraki pastewne z mikrofalówki.

To, że lokal, w którym przyjdzie nam dokonać zakupu abonamentu na najbliższych pięć lat, nie jest salą z dansingiem, nikogo nie dziwi i raczej nikt się fajerwerków nie spodziewał. Dlaczego jednak nie zadbane o to, by kampania była strawna dla PT Konsumentów?

Podsumowując owe kulinarne rozważania, myślę, czy aby naród komuś nie poda czarnej polewki zamiast deseru. Bardziej pewne jest jednak to, że coś z tej całkowicie niestrawnej karty dań wybierzemy, a potem dostaniemy... mdłości.

Jeżeli chodzi o studentów o zdolnościach zarządczych bądź przywódczych, nikt na rynku profesjonalnych płatnych usług prawnych nie umożliwiłby im kierowania działem czy zarządzania kancelarią zatrudniającą 60 prawników. Z kolei SPP jest zarządzana przez studentów, którzy zawsze mogą liczyć na merytoryczne wsparcie opiekunów.

Poza tym praktykant, absolwent prawa, a nawet młody aplikant nie może reprezentować klienta w sądzie ani brać czynnego udziału w rozprawie. Przeciwnie jest student poradni. Dzieje się tak ze względu na przepisy o organizacji społecznej, które znajdują zastosowanie do SPP zarówno w zakresie procedury cywilnej, jak i karnej. Co więcej, przy rozwijaniu praktycznego warsztatu prawniczego studenci pomagają osobom, których nie stać na profesjonalnych pełnomoc-

ników bądź doradców, więc w żadnym wypadku nie konkurują z zawodowcami. Ponadto, działając *pro publico bono*, rozwijają świadomość prawną społeczeństwa.

Warto nadmienić także, że studenci SPP przy WPiA KA, jako jedni z pierwszych w Polsce, zamierzają regularnie zacząć stosować drugą (po nauczaniu klinicznym) z nowoczesnych metod edukacji prawniczej, jaką jest symulacja rozpraw sądowych. 6 maja 2010 roku odbyła się „I studencka symulacja rozpraw sądowych z udziałem mediów”, na którą zostali zaproszeni przedstawiciele klinik prawa z całej Polski (w tym wybitni profesorowie), sędziowie sądów najwyższych a także władze Izby adwokackiej i radcowskiej oraz przedstawiciele Fundacji Uniwersyteckich Poradni Prawnych i Światowego Stowarzyszenia Poradni Prawnych.

Podsumowując, w tym i w zeszłym roku akademickim studenci SPP rozwiązali ok. 40 spraw, a kolejnych 30 jest w toku. W październiku 2009 roku powstała prężnie rozwijająca się sekcja prawa podatkowego, której studenci przez cały marzec i kwiecień wypełniali deklaracje podatkowe klientów. Ponadto w lutym odbył się nabór nowych studentów do wszystkich sekcji. Przyjęty został co czwarty kandydujący student, co potwierdza wysoki poziom merytoryczny poradni. Dlatego też serdecznie zapraszam najlepszych studentów obecnego II i III roku prawa bądź administracji do wzięcia udziału w przyszłorocznym naborze. Doświadczenie zdobyte w poradni może okazać się dla Was szansą na wyróżnienie się na tle pozostałych studentów poszukujących pracy, a także na pochwalenie się znaczącym doświadczeniem praktycznym.

Podręcznik „Metoda reprezentacyjna w badaniu jakości wyrobów. Kontrola odbiorcza” i broszura „Nowe życie”

Warto przeczytać...

Podręcznik pt. „Metoda reprezentacyjna w badaniu jakości wyrobów. Kontrola odbiorcza”, autorstwa prof. dra hab. inż. Jana Steczkowskiego (UEK) i dra Piotra Stefanowa (KA AFM), wydany przez wydawnictwo Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie (Kraków 2009), składa się z trzech rozdziałów omawiających takie zagadnienia, jak: podstawowe metody losowania próby i elementy wnioskowania statystycznego, schematy losowania oraz statystyczną kontrolę jakości – procedury odbiorcze.

Prezentowane w podręczniku procedury mogą być wykorzystane nie tylko przez studentów, przygotowujących prace dyplomowe, ale także przez pracowników nauki, prowadzących prace badawcze dla potrzeb praktyki gospodarczej.

Broszura pt. „Nowe życie”, pod redakcją dra Zygmunta Nowaka, ordynatora Oddziału Rehabilitacji Kardiologicznej Uzdrowskiego Szpitala Kompleksowej Rehabilitacji „Krystyna” w Busku-Zdroju oraz prof. dra Zbigniewa Paszka (KA AFM), wydana została przez Krakowską Akademię im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego (Wydział Zdrowia i Nauk medycznych) jako przestroga przede wszystkim dla tych osób, które zbyt dużo czasu poświęcają pracy zawodowej.

Obydwa opracowania są do nabycia w księgarni akademickiej KA.

Na krakowskim podwórku pojawiło się w ostatnich latach kilka kart, które upoważniają do zniżek i rabatów. Wiadomo – nie lubimy przepłacać. Coraz chętniej zatem korzystamy z tego typu udogodnień. Licząc wydatki, uczymy się mądrze gospodarować pieniędzmi, dlatego karty dające nam możliwość oszczędzenia kasy zyskują coraz liczniejsze grono użytkowników

Kuszenie studentów

Kraków to iście studenckie miasto – jest nas tutaj ok. 200 tysięcy. Nic więc dziwnego, że karty partnerskie i programy lojalnościowe skierowane do grupy studentów to dynamicznie rozwijające się zjawisko. Sami studenci patrzą na zniżki przychylnym okiem. Kart jest kilka, lecz warto się skupić na trzech, które dają najwięcej korzyści: *VIP Student*, *Karta na Plus* oraz *Scanmed Akamedik* połączona z serwisem wyspa.skarbow.com.

Karta karcie nierówna...

Skupiając się na tych trzech kartach: *VIP Student*, *Karta na Plus* oraz *Scanmed Akamedik*, warto zauważyć zasadniczą różnicę, pomiędzy kartami *VIP Student* i *Scanmed Akamedik* a *Kartą na Plus* – ta ostatnia kosztuje 48 zł, choć wraz z jej zakupem otrzymujemy katalog – przewodnik po oferowanych promocjach. Fajne, ale po-

jawia się wydatek, co, jak się okazuje, jest minusem w oczach żaków. Warto przy tym zaznaczyć, że *Karta na Plus* ważna jest przez rok; *VIP Student* jest ważna także rok, z tym że obecną kartę można używać do końca września 2010. *Karta Scanmed Akamedik* jako jedyna z wymienionych kart nie ma terminu ważności oraz jest darmowa.

Gdzie iść z kartą?

Najwięcej miejsc oferuje *Karta na Plus* – obecna na rynku stosunkowo długo. Katalog jest wydawany w eleganckiej formie i rzeczywiście spełnia swoje informacyjne zadanie, choć przypomina wielką księgę reklam. Tuż za nią plasuje się karta *Scanmed Akamedik* połączona z serwisem wyspa.skarbow.com. Serwis *Wyspy Skarbow* ruszył pełną parą na początku tego roku. Na stronie zamieszczone są informacje na temat tego, gdzie w Krakowie można skorzystać z rabatów i zniżek za okazaniem karty *Scanmed Akamedik* lub kuponu w formie SMS-a.

Warunkiem koniecznym do uzyskania pełnego dostępu do zniżek jest rejestracja na stronie. Dzięki podaniu numeru telefonu komórkowego będziemy mogli otrzymywać newsy na temat konkursów i zniżek. Korzystanie z rabatów zamieszczonych w serwisie jest możliwe także za pośrednictwem kuponów rabatowych w formie bezpłatnego SMS-a – bez karty *Scanmed Akamedik* również można korzystać z oferowanych zniżek. Wielki plus za innowacyjne rozwiązanie.



Z kolei *VIP Student* oferuje imprezowanie na najwyższym poziomie niekoniecznie za duże pieniądze. Na stronie znajdziecie kilkanaście klubów i pubów, w których ze zniżką kupicie napoje serwowane w barze. Jest to oferta w głównej mierze dla niezadowolonych imprezowiczów. Miejsc, w których można skorzystać ze zniżek jest cała masa. Karty można kupić lub odebrać w kilkunastu miejscach wskazanych na stronach poszczególnych programów zniżkowych.

Rabat, zniżka, promocja? Kto ich nie lubi...

Coraz częściej żyjemy „od wyprzedaży do wyprzedaży”. Niemal każdy z nas czeka na zimowe obniżki cen oraz letnie „wietrzenie” sklepów. Serwis Wyspa Skarbów proponuje zniżki i rabaty przez cały rok na wszelkiego rodzaju usługi. Rabaty sięgają od 5 do 30 proc. Co tydzień pojawiają się na stronie nowe zniżki na miłe spędzenie czasu po zajęciach lub pracy, zaspokojenie wilczego głodu w leniwy weekend lub kolację we dwoje w eleganckiej restauracji, ale i edukację – coś dla ducha i ciała.

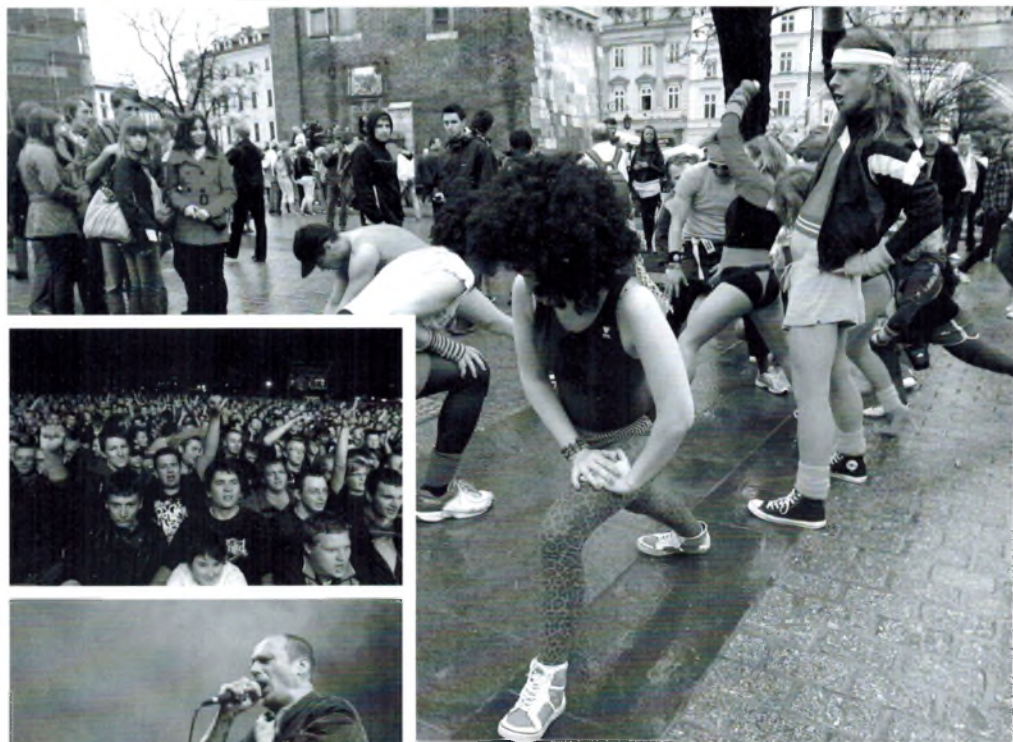
Karta na Plus w swoim katalogu oferuje kilkadziesiąt miejsc, gdzie można zaoszczędzić sporo pieniędzy. Strona karty *VIP Student* nie jest bogata w oferty, ale skupia te miejsca, które są najczęściej miejscem zabaw do białego rana.

Każda z kart to odrębny program. Karta *Scanmed Akamedik* jako jedyna oferuje coś oprócz samych zniżek, mianowicie opiekę medyczną. *Karta na Plus* jest z kolei postrzegana jako ta najbardziej prestiżowa o największym zasięgu. A *VIP Student* zachęca do szampańskiej zabawy. Sami oceńcie, która jest najlepsza dla Was.

G.K.

Fotorelacja

Juwenalia 2010



Dokończenie na okładce.
Fot. Łukasz Żołądź, Marlena Wojnowska

